

Rozdział I

Historia o drzwiach

A dwokat Utterson był człowiekiem o niezbyt uprzejmej twarzy, której nigdy nie opromieniał uśmiech. Należał do osób zimnych, małomównych, nieskorych do rozmowy; nie zdradzał nigdy skłonności do przejawiania uczuć. Był chudy, wysoki, oschły, mrukliwy – a jednak z jakiegoś powodu go lubiano... W towarzystwie przyjaciół, przy winie, z oczu jego przebłyskiwało umiłowanie ludzkości, coś, czego nigdy nie dało się odkryć w jego słowach, co jednak przejawiało się w czynach. Samego siebie traktował surowo – pił gin, gdy był sam, by sobie zepsuć smak wina; chociaż

uwielbiał teatr, od dwudziestu lat nie poszedł na żadne przedstawienie. Powszechnie znana była tolerancja, z jaką odnosił się do innych ludzi. Dziwił się – a czasem i zazdrościł – namiętności, jaka częstokroć kieruje ludzkimi postępkami. Gdy ktoś znalazł się w biedzie, wołał mu raczej pomagać niż go ganić.

– Grzech Kaina jest również i moim grzechem – mawiał w takim wypadku. – Niech moi bracia grzeszą, każdy na swój sposób.

Stawał się też często ostatnim przyzwolonym znajomym i ostatnim opiekunem ludzi, którzy stoczyli się na dno nędzy i występku. Wobec takich osób nie zmieniał nigdy swego sposobu postępowania, póki do niego przychodzili.

Nie było to zaprawdę rzeczą trudną, Uttersson bowiem nie miał absolutnie daru strofowania innych. Przyjaźnie jego opierały się właśnie na tej cechującej go bezwzględnej dobroduszości. To zresztą charakterystyczne dla ludzi skromnych, że przyjaciół swych zdobywają przypadkowo; tak też było u naszego adwokata. Grono jego przyjaciół zasilali bliscy krewni albo też ludzie, których znał

od dawna. Życzliwość jego przypominała powój – rosła z biegiem czasu i nie troszczyła się o właściwości osoby, którą oplatała.

Tak też wytłumaczyć można więzy przyjaźni, która powstała między Uttersonem a Ryszardem Enfieldem, człowiekiem znanym w całym mieście. Wiele osób zastanawiało się, co też obu tych ludzi może łączyć. Kto ich spotykał podczas niedzielnych przechadzek, przekonywał się, że nie mówią do siebie ani słowa, nudzą się zapewne i pojawienie się znajomego witają z widoczną ulgą. Mimo to obaj uważali te wycieczki za wielką przyjemność, za najrozkoszniejszy epizod całego tygodnia, wyrzekali się wszelkich innych rozrywek, odsuwali wszelkie sprawy zawodowe, by tylko bez przeszkody rozkoszować się swymi spacerami.

Podczas jednego z takich spacerów zdarzyło się, że szli boczną uliczką w jednej z najbardziej ożywionych dzielnic Londynu. Była to wąska i spokojna uliczka. W zwykły dzień – a nie, jak dzisiaj, niedzielny – stanowiła teren ożywionego handlu detalicznego. Mieszkańcy byli widać zamożnymi ludźmi i pragnęli

stać się jeszcze bogatsi. Wystawy sklepów emanowały dostatkiem i narzucały się oczom przechodniów. Nawet w niedzielę, kiedy to ruch uliczny zamierał, błyskały w tej brudnej uliczce jak płomień w lesie. Pstro wymalowane szyldy, polerowane okna, mosiężne ramy skupiały na sobie uwagę przechodniów.

W pewnym punkcie tej uliczki rząd kamienic się urywał. Była tu brama wjazdowa na podwórze, w którym tkwił ponury blok, niepodobny zupełnie do sąsiednich domów. Wysoki na dwa piętra z samotnymi drzwiami na parterze. Nie widać było ani jednego okna. Nad bramą wjazdową wznosił się ślepy mur o wyblakłej barwie. Domostwo to wszędzie wykazywało ślady zupełnego zaniedbania. Porysowane i popękane drzwi nie były wcale zaopatrzone w dzwonek. Ulicznicy siadali zwykle na progu i pocierali zapalki o chropawe, zwietrzałe deski bramy. Uczniacy scyzorykami wycinali tu różne figury. Od niepamiętnych czasów nikt się nie zjawiał, by tych szkodników odpędzić.

Enfield i adwokat szli drugą stroną uliczki, a gdy znaleźli się naprzeciw bramy tego

osobliwego domostwa, Enfield podniósł la-
skę i wskazał na opuszczony dom.

– Czy zauważył pan te drzwi? – zapytał,
a gdy towarzysz jego skinął przytakująco głó-
wą, rzekł: – Drzwi te łączą się w mej pamięci
z bardzo dziwną historią...

– Co to było? – zapytał Utterson, a głos
jego zmienił się nieco.

– Tak, to było w tej uliczce – odparł En-
field. – Szedłem skądś do domu późno w noc,
około trzeciej po północy, w zimie. Droga
moja prowadziła przez dzielnicę, w której
dosłownie nie było nic widać prócz latarni.
Ulica za ulicą, wszyscy ludzie śpią... Ulica za
ulicą, wszystkie oświetlone jak podczas pro-
cesji, a wszystkie puste... Począłem tęsknić za
widokiem policjanta... Nagle ujrzałem dwie
postaci: jedną był mały człowieczek, który
podążał szybkim krokiem, a drugą dziew-
czynka ośmio- czy dziesięcioletnia, wybie-
gająca właśnie z jednej z przecznic. Na rogu
obie te postaci wpadły na siebie. Wówczas
stała się rzecz ohydna. Człowieczek ten spo-
kojnie ruszył dalej, nie troszcząc się wcale
o dziewczynkę, która leżała na ziemi i wołała

o pomoc. Puściłem się w pogoń za tym nie-ludzkim osobnikiem, ująłem go za kołnierz i sprowadziłem na miejsce wypadku, gdzie zgromadziła się już grupa ludzi dokoła krzy-czącego dziecka. Ujęty drab zachowywał się zupełnie spokojnie, nie bronił się wcale, rzu-cił na mnie tylko tak złe spojrzenie, że za-drżałem. Okazało się, że grupa ludzi, która się zbiegła, to właśnie krewni owej dziew-czynki. Wkrótce pojawił się też sprowadzony lekarz. Ostatecznie dziecku nic poważniej-szego się nie stało, przeraziło się tylko. Cała afera na tym mogła się skończyć, gdyby nie zaszedł dziwny wypadek. Drab od pierwszej chwili budził we mnie wstręt. Że to samo odczuwali krewni dziewczynki, było rzeczą zupełnie zrozumiałą. Zdumiało mnie tylko, że podobnie reagował lekarz. Ilekroć spoglą-dał na mego jeńca, bladł. Miałem wrażenie, że najchętniej by go zabił. Ponieważ jednak zabić go nie mogliśmy, staraliśmy się ulżyć sobie, besztając go. Powiedzieliśmy drabowi, że sprawa pachnie skandalem, że nazwisko jego będzie w całym Londynie zniesławione, że jest bydlęciem w ludzkiej postaci. Podczas

tych wymyślań musieliśmy siłą powstrzymywać zebrane dokoła kobiety, by się nań nie rzuciły. Nigdy nie widziałem takiej wściekłości, jaka się malowała na ich obliczach. A pośrodku stał ów człowiek. Wyraz twarzy miał ponury, nawet nieco ironiczny. Widziałem jednak, że się boi. „Jeżeli państwo macie zamiar żądać odszkodowania za ten wypadek – powiada – dobrze. Jestem bezsilny – rzecz. – Chcę uniknąć wszelkich dalszych scen. Proszę wymienić sumę”. Powiedzieliśmy, by wypłacił sto funtów rodzinie dziewczynki. Z twarzy naszych mógł wyczytać, że mówimy serio, że nie damy się zbyć byle czym, więc zgodził się ostatecznie. Teraz chodziło o to, by wydostać pieniądze. Dokąd, myśli pan, zaprowadził nas? Właśnie do tych tam drzwi... Wyjął klucz z kieszeni, wszedł i po chwili pojawił się z dziewięciu funtami w złocie i z czekiem na dom bankowy Coutts, płatnym na okaziciela i podpisanym nazwiskiem, którego nie chciałbym wymieniać... Nazwisko to jest bardzo znane i często spotyka się je w druku... Zwróciłem uwagę tego jegomościa, że wydaje mi się to wielce podejrzanе. W normalnych

warunkach nie zdarza się przecież, by o czwartej nad ranem ktoś wszedł do opuszczonego domu i po chwili wyszedł z czekiem na sto funtów podpisanym przez inną, i to powszechnie znaną osobistość... Lecz on zachował się wobec moich słów zupełnie spokojnie i rzekł kpiącym tonem: „Niech się pan uspokoi, chętnie zostanę z panem, aż otworzą bank, wtedy sam zrealizuję czek”. Zgodziliśmy się na to. Lekarz, ojciec dziewczynki, ja i ten dziwny osobnik spędziliśmy resztę nocy w moim mieszkaniu, a po śniadaniu poszliśmy razem do banku. Osobiście wręczyłem czek, oświadczając, że podejrzewam, iż jest fałszywy. Ale nie! Czek był prawdziwy...

– Co? Prawdziwy? – przerwał Utterson.

– Tak jest – mówił dalej Enfield – dziwna historia! Osobnik ten robił wrażenie wyrzutka społeczeństwa, a persona, która czek wystawiła, była najprzypoitsza, jaką sobie tylko można wyobrazić, powszechnie znana i szanowana... Przypuszczam, że wchodzi tu w grę jakieś wymuszenie. Zaczny obywatel, który płaci za jakąś przygodę młodzieńczą... A jednak i to nie wyjaśnia mi

wszystkiego... – zakończył Enfield i popadł w zamyślenie.

Utterson przerwał je po jakimś czasie pytaniem:

– A czy ten, który czek wystawił, mieszka w tym domu bez okien?

– Nie – odparł Enfield. – Przypadkowo poznałem jego adres, mieszka tu w okolicy, w domu znajdującym się przy jednym z wielkich placów.

– A nie pytał się pan później o ten ponury dom bez okien?

– Nie, nie zwykłem tego robić – wyjaśnił Enfield. – Nie lubię się rozpytywać i śledzić. Stawia się pytanie i ma się wrażenie, jakby się rzuciło kamień. Człowiek siedzi spokojnie na pagórku, kamień stacza się, porywa inne za sobą i trafia wreszcie jakiegoś niewinnego człowieka, o którym wcale nie myślano i któremu zamyka się spokój... Mam zasadę, by wcale nie zbliżać się do zawiłych afer...

– Doprawdy bardzo dobra zasada – rzekł adwokat.

– Ale zbadałem miejsce, ot tak, dla własnego użytku – mówił dalej Enfield. – Nie robi

to wrażenia zwykłego domu. Są tylko jedne drzwi wejściowe, przez które czasem, bardzo rzadko, wchodzi i wychodzi ów mężczyzna z nocnej przygody. Od strony podwórza są trzy okna na pierwszym piętrze; na parterze nie ma żadnego. Okna są stale zamknięte. Z komina unosi się przeważnie dym, zatem dom jest jednak zamieszkały...

Obaj przyjaciele spacerowali czas jakiś w milczeniu, po czym Utterson odezwał się:

– Jedno chciałbym wiedzieć. Jak brzmi nazwisko człowieka, który przewrócił dziecko?

– Dobrze – rzekł Enfield. – Dlaczegożby nie? Był to człowiek nazwiskiem Hyde.

– Hm... – mruknął Utterson. – Jak on wygląda?

– Niełatwo go opisać. W jego postaci tkwi coś niechlujnego, nieprzyjemnego. Nigdy nie spotkałem człowieka, który wydałby mi się tak niesympatyczny, chociaż sam nie wiem dlaczego... Jego ciało kryje w sobie jakąś pokraczność, z pewnością nie jest to człowiek normalnie zbudowany, ale na czym ta anomalia polega, nie mogłem sobie uświadomić. Wygląda jakoś „inaczej”, a przecież nie



Drab miał klucz.

mógłbym wymienić nic niezwykłego. Nie, nie umiem go opisać. A jednak, proszę mi wierzyć, widzę go w tej chwili dokładnie...

Utterson szedł w milczeniu. Widocznie był pogrążony w głębokich rozmyślaniach.

– Ale wie pan na pewno, że miał klucz? – zapytał wreszcie.

– Ależ, proszę pana... – przerwał Enfield wielce zdziwiony.

– Tak – rzekł Utterson – wiem, że to się panu wydaje dziwne. O nazwisko tej drugiej osoby tylko dlatego nie pytam, ponieważ już je znam. Widzi pan, mój Ryszardzie, pańska historia trafiła pod właściwy adres. Dlatego proszę, jeśli jakiegoś szczegółu nie podał pan całkiem ściśle, niech pan od razu sprostuje.

– Ależ – odparł Enfield z pewną cierpkością – byłem zupełnie ścisły, by użyć pańskiego wyrażenia. Drab miał klucz; ma go wciąż jeszcze. Całkiem niedawno, nawet nie tydzień temu, widziałem, że otwierał...

Utterson westchnął głęboko, nie rzekł jednak ani słowa. Natomiast Enfield ciągnął:

– To raz jeszcze dobra nauczka dla mnie: nie gadać! Wstydzę się, że jestem takim gadułą. Proponuję panu, abyśmy nigdy więcej tej sprawy nie poruszali, dobrze?

– Jak najbardziej – zapewnił adwokat. – Daję panu słowo, Ryszardzie.